

PRZYJACIEL DZIECI

DODATEK DO
ROBOTNIKA

Pod Redakcją Robotniczego Tow. Przyjaciół Dzieci



565

Sławek przygląda się zabawie Grzyboludków



Do kogo należą kopalnie węgla?

Mały Józio przysłuchiwał się, jak ojciec czytał o górnikach, którzy głęboko pod ziemią kopią węgiel, dzięki któremu nie marzniemy w zimie i jak tym górnikom jest źle, jak wielu z nich cierpi głód i niedostatek.

„Tatusiu — pyta Józio — a dlaczego górnicy nie wykopią jeszcze troszeczkę więcej węgla i nie kupią sobie zań jedzenia, by nie byli głodni?”

„Bo kopalnie nie do nich należą”.

„A do kogo?”

„Do kilku bogatych ludzi, którzy mieszkają w mieście”.

„A czy ci ludzie sporządzili węgiel i schowali go pod ziemię?”

„Co ci też na myśl przychodzi, dziecko?! Węgiel leży tam już od tysiący lat”.

„A czy on tam leży tylko dla tych kilku z miasta?”

„Nie! leży tam dla wszystkich”.

„Więc jeśli dla wszystkich, to dlaczego dla górników nie?”

„I dla górników, oczywiście. Tylko, widzisz moje dziecko, górnicy są tak biedni, że do nich nic nie należy”.

„Aha! więc węgiel należy tylko do bogatych...”

„Ależ nie! nie dziecko! Węgiel należy do wszystkich, tylko biedni nie mogą nabyć kopalni i dlatego nic z tych kopalni do nich nie należy”.

„A czy ci, do których kopalnie należą, wydobywają sami węgiel?”

„Nic podobnego! Wynajmują ludzi, którzy to za nich robią”.

„Nie mogę więc pojąć, dlaczego węgiel do górników nie należy, skoro jest własnością wszystkich, a oni właśnie go z ziemi wydobywają?”

„Bardzo jesteś jeszcze dziecinny, mój synku! Ale gdy dorośniesz, zrozumiesz jak to się dzieje, że wiele ludzi nie posiada tego, co im się sprawiedliwie należy, a posiadają tylko ci, którzy mają pieniądze”.

„Więc skoro górnicy nie mają pieniędzy i nie mogą sobie kupić kopalni, to zawsze będą cierpieć głód?”

„Nie zawsze, synu! Górników jest dużo, znacznie więcej, jak posiadających kopalnie. Przyjdzie czas, gdy staną razem, silni jednością, świadomi celu i zmuszą swych panów do zrzeczenia się niesłusznym ich praw do kopalni”.

„Wówczas górnicy będą właścicielami kopalni i do nich będzie węgiel należał, prawda tatusiu?”

„Nie tylko kopalnie do górników będą wówczas należały, ale cała ziemia do wszystkich ludzi, którzy na niej żyją. Wówczas nie będzie głodnych, nie będzie nikt marzył, dlatego bo niema pieniędzy na opał”.

Wówczas będzie wszystkim dobrze
Z czeskiego N. R.

N I P P O N

(Kraina wschodzącego słońca)

(Ciąg dalszy).

Piątego dnia kolonja była gotowa i rzeczywiście przedstawiała się imponująco. Składała się z czterech sporych chałupek, zbudowanych z gliny i patyków, krytych „dachówką muszelkową” jak ją nazywał Jur.

W oknach połyskiwały w słońcu kolorowe szkiełka z potłuczonych butelek.

Cała ta kolonja otoczona była żywopłotem z małych gałązek świerkowych. Były nawet furteczki, bardzo dokładnie ułożone z równo ciętych patyczków, pozbianych małymi gwoździkami.

Pośrodku, między czworobokiem domków był ogródek z trawnikami z darniny, z alejkami wysadzonemi świerczkami. Przed każdym domkiem był klombik, ubrany prawdziwymi kwiatami, obłożony muszelkami. Było to arcydzieło Zochy.

Kiedy wszystko było gotowe i Wład, zwyczajem murarzy, zatknął zieloną gałązkę na dachu budowli, po wspólnej naradzie postanowiono zaprosić Kazikowego ojca, który był prawdziwym architektem.

Pan Zagończyk, ojciec Kazia, oprowadzany przez gromadkę, obejrzał kolonijkę bardzo dokładnie, uśmiechnął się z zadowoleniem z ich pomysłów, dał kilka rad i obiecał zaglądać od czasu do czasu do „kolonistów”.

Roboty było jeszcze huk. Jeszcze niejedno trzeba było wygładzić, wykończyć, uprzątnąć niepotrzebny materiał.

Do wywożenia „gruzu” — jak mówili chłopcy, zaprzęgano znów biednego Reksa.

Wreszcie pies zbuntował się i nie chciał „wywozić śmieci”.

Tak go tłumaczył Jur.

Nie pomogło wymyślane Włada, spokojne perswazje Kazika i groźba wykluczenia go z gromady „kolonistów”. Uparł się i ani rusz. Podwijał ogon pod siebie, siadał mocno na ziemi i spozierał tak rozpaczliwym wzrokiem, że nie było rady.

Chłopcy wobec tego musieli sami wywozić niepotrzebne resztki materiału budowlanego.

Od samego rana zbierało się na bu-

rzę. Było parno, duszno, słońce piekło, choć miało jakby zamglony blask.

Dzieci jak zwykle były na wydmie. Od czasu do czasu zrywał się suchy wiatr, potaćcował z piaskiem w kółko i znów przycichał. Po chwili wracał znów tą samą drogą, zrywał kilka listków, porozganiał je po wydmie, sypnął za niemi piaskiem i znów przysiadł. I w ten sposób, powoli, zajmował całą wydme, rozpościerał się po niej, jakby był u siebie w domu. Wreszcie zaczął dokuczać dzieciom:

Jurowi złapał z czoła czuprynę, to mu ją znów rzucił na oczy, Zochnie sukienkę okręcił koło bosych nóg, dmuchnął w nos i uciekł. Władowi sypnął piaskiem w oko, co było naprawdę niemądrym żartem, bo chłopiec przez dłuższy czas nie mógł spojrzeć na to oko, ciągle nabiegały mu łzy.

Chmury coraz gęściej zasnuwały niebo.

Dzieci były senne.

Reks wyciągnął się na piasku, łeb przycisnął do ziemi, zamknął ślepia i udawał, że śpi.

Od czasu kiedy „gruz” był wywieziony, zaczął znów przychodzić na wydme, bez obawy, że dadzą mu zajęcie, uwłaczające jego „psiemu honorowi”.

Po obiedzie gromadka stawiała się w komplecie.

— Będzie deszcz — zawyrokował Jędrek, patrząc w niebo.

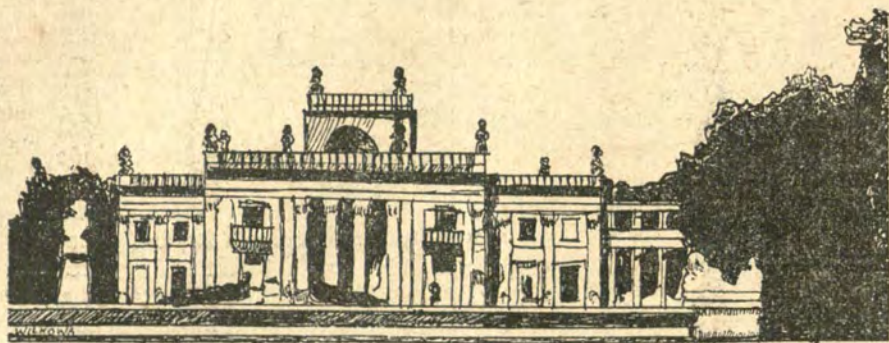
— My to wiemy już od rana — zaśmiał się Jur — a ty dopiero teraz spojrzalesz w niebo. Teraz, to pierwszy lepszy kogut już wie o tem i drze się w niebogłosy.

— Ale co się stanie z naszą budowlą, przecież ona jest cała z gliny i piasku zrobiona — pytał dalej Jędrek.

W tej chwili na silnie zachmurzonym niebie ukazała się zygakowata błyskawica, jak waż ześlizgnęła się z horyzontu. W kilka sekund po niej — ryknął grzmot.

— No, to piorun, wiecie, trzeba wracać do domu i to szybko — powiedział Kazik.

(C. d. n.)



Spacery z Tata

Co widziałem w Łazienkach?

Napewno niejedno z Was — jeśli nie mieszka zbyt daleko — nieraz zachodzi do Łazienek. I nieraz zapewne myśleliście sobie: dlaczego ten wielki i piękny ogród tak dziwnie i... głupio się nazywa?

W tę niedzielę zwiedzałem Łazienki z Tatusiem i dowiedziałem się przy sposobności i o pochodzeniu nazwy Łazienek. Oto dawno, jeszcze w XVII-tym wieku, zbudował sobie w miejscu, gdzie dziś jest pałac, naprawdę łazienkę książę Stanisław Lubomirski. Skorzystał on z tego, że znajdowało się tu źródło (gdzie dziś fontanna) dostarczające doskonałej wody do kąpieli. Później na miejscu łazienki powstał wielki pałac, o dawnym przeznaczeniu budynku zapomniano, ale nazwa — pozostała.

Park Łazienkowski jest bardzo stary. Niedgdyś był tu zwierzyniec, przyjeżdżano tu z Warszawy, aby polować na dzikie zwierzęta. A dziś — zamiast zwierzyny widać w parku mamusie i nianie z wózekkami. Tak się zmieniają czasy...

W parku znajduje się bardzo wiele budynków, które obecny swój wygląd zawdzięczają czasom Stanisława Augusta. Stanisław August Poniatowski był to ostatni z królów polskich. Jako rządcą kraju był nieudolny, nieporadny, — najwyczajniej w świecie wydał on Polskę na łup obcych mocarstw. Miał jednakże tę zasługę, że, znając się na sztuce i kochając piękno, przyczynił się do zbudowania w Warszawie wielu pięknych gmachów po-

dług swojego smaku. Wszystkie domy z tych czasów mają wiele cech wspólnych zarówno w szczegółach budowy, jak i w urządzeniu wewnątrz, i ten sposób budowania nazywamy stylem Stanisława Augusta. Otóż pałac Łazienkowski, to właśnie najpiękniejszy z gmachów stanisławowskich, a zarazem jedna z głównych ozdób Warszawy.

Park jest cudnie położony. Od wejścia urocza kręta droga wśród drzew prowadzi stromo na dół. Wkrótce spostrzegamy na lewo ogrodzenie murowane, strzeżone przez dwa kamienne lwy. W głębi — stoliki i krzesła na murawie i — szeroki, parterowy budynek o wielkich, wysokich oknach. Ten dziś na kawiarnię przeznaczony budynek był dawniej Pomarańczarnią królewską, tu w sztucznym cieple hodowano pomarańcze i inne południowe rośliny, które u nas nie mogłyby rosnąć na wolnym powietrzu. W tylnej części gmachu znajdował się teatr nadworny.

Nieco dalej wychodzimy na szeroką, wspaniałą aleję, — tu uderza nas po prawej stronie piętrowy biały domek z galerijką pośrodku dachu.

— Co to jest? — pytam Tatusia.

— Biały domek.

— Ja wiem, że nie czarny, tylko biały! Ale co to jest?

Okazuje się, że rzeczywiście nazwa tego budyneczku brzmi: „Biały Domek”. Jest to pałacyk, budowany przez Stani-

sława Augusta. Król upodobał sobie ogromnie Łazienki; szczególnie mu zależało na tem, aby pałac Łazienkowski został według jego gustu pięknie przebudowany. Więc w czasie przebudowy Łazienek, aby móc patrzeć stale na postępy pracy, król mieszkał w Białym Domku.

Niedaleko za Domkiem skręcamy na prawo i jesteśmy przed **Pałacem Łazienkowskim**. Aby zdać sobie sprawę z piękna tego pałacu, trzeba odejść trochę dalej, na drugi brzeg wody: budynek jest szczególnie śliczny, kiedy się przegląda w lustrzanej tafli stawu.

Położony on jest na **wyspie**. Jest to budynek piętrowy, uwieńczony balustradą, którą zdobią różne figury. Ze środka dachu wyrasta znów, jak w Białym Domku, ganeczek (belwederek), też z balustradą i z czterema figurami (zdaje się, że one przedstawiają cztery pory roku).

Pałac na prawo i lewo łączy się z przybudówkami za pomocą oszklonych galeryjek, przerzuconych przez wodę.

Oglądaliśmy pałac wewnątrz. Razem z nami było dużo ludzi, szczególnie przyjezdnych. Każdy musi w przedsionku włożyć na nogi miękkie bambosze, żeby nie zabrudzić podłóg. Pokoje w Łazienkach są piękne, każdy inny, a każdy przepyszny. Jest to naprawdę nie dom mieszkalny, ale wspaniałe muzeum.

Pierwszy pokój jest cały wyłożony kafelkami z porcelany, tych kafli jest mnóstwo, a każdy ozdobiony innym rysunkiem. Na ścianach portrety, nawet sufity ozdobione są malowidłami, tak zwanymi „**plafonami**” (plafon to po francusku „sufit”). Dalej — sala balowa ze wspaniałe-

mi rzezbami, cała biała, marmurowa, z wnęką dla orkiestry. Pozatem ciekawa jest **sala Salomona** z ogromnymi obrazami, przedstawiającymi różne zdarzenia ze starożytności, następnie — **zbiór starych obrazów**, wreszcie — sala „**obiadów czwartkowych**”. Te „obiady czwartkowe” to były takie biesiady, na które do króla przychodzili artyści, poeci, pisarze i, spożywając smaczne potrawy, mądrze sobie gawędzili.

Pałac łazienkowski jest niesłychanie bogato zdobiony. Nie znajdziesz tam ani kawałka ściany bez ozdoby. Obrazy, „plafony”, „supraporty” (czyli obrazy, wiszące nad drzwiami), to znów rżnięte w drzewie i złożone girlandy kwiatów; piękne kominki marmurowe z lustrami, meble obite jedwabistemi materjami, wazy japońskie i chińskie, kryształowe żyrandole.

Takich pałaców, jak Łazienki, pięknych i bogatych w dzieła sztuki, jest w Polsce więcej. Kiedyś budowano taki pałac dla rozrywki i kaprysu jednego bogatego człowieka, — dziedzica czy króla. Dziś czasy się zmieniły — dużo tych pałaców przestało być własnością pojedynczych jednostek, a należą one **do całego narodu**. Dziś do pałacu łazienkowskiego, na który człowiekowi ciężkiej pracy niegdyś nawet spojrzeć nie było wolno, może przyjść swobodnie każdy chłop, każdy robotnik, każde dziecko proletariackie, może zwiedzać, oglądać, poznawać dzieła dawnej sztuki, rozkoszować niemi dowoli swe oczy i kształcić na nich swe poczucie piękna.

Wilk.

LEW TOLSTOJ

Sto lat temu, 9 września 1828 roku, urodził się w Rosji, w Jasnej Polanie, guberni tułskiej, Lew Tołstoj.

Był to wielki pisarz, którego dzieła świat cały czyta. Ale nie dla Jego sławy kochamy i czcimy pamięć Jego. Kochamy i czcimy w Nim przede wszystkim człowieka, który nienawidził i piętnował krzywdę, rozumiał i odczuwał wrażliwem sercem ból drugich, głosił, iż niesprawiedliwością jest własność prywatna i — mimo, iż sam hrabiowskiego pochodzenia —

chciał ziemię, którą posiadał, oddać chłopom. Gdy po raz pierwszy zetknął się z nędzą wielkich miast, zaciskając pięści wołał zrozpaczony:

„Ależ tak być nie powinno! Co robić, żeby tak nie było?”

Nie mógł się z tem zżyć, że nędza jest, że ludzie cierpią głód i niedostatek i że właściwie świat się z tem pogodził.

Już jako dziecko szedł Tołstoj do chłopca na pole, do rzemieślnika do warsztatu, patrzył na ich prace i życie, pytał.

słuchał, poznawał duszę ludu rosyjskiego, którą potem, jako dorosły, w dziełach swych opiewał.

Do końca życia został on taki sam, zawsze w to samo wierzył i to samo głosił. Zawsze bolała Go krzywda i zawsze uważał za niesprawiedliwość, że Jego otacza zbytek, podczas gdy inni cierpią niedostatek.

Zawsze walczył o swe ideały i chciał majątek swój oddać chłopom, ale zawsze warunki zewnętrzne i opór rodziny, którą gorąco kochał, były silniejsze.

Dlatego wśród kochanej i kochającej rodziny czuł się bardzo osamotniony. Nikt bowiem nie rozumiał myśli Jego, a raczej rozumieć nie chciał, gdyż proste były i jasne i rozumiałe dla każdego, kto chciał słuchać i rozumieć.

Czyż nie jasne i zrozumiałe są idee, które głosił:

„Wszyscy ludzie powinni pracować”.

„Nie powinniśmy żyć kosztem pracy drugich”.

„Nie popadajmy w złość”.

„Nie rób drugiemu tego, co nie chciał byś, by tobie robiono”.

„Nie miejmy wrogów”.

„Nie odpłacajmy złego złem”.

„Nie zabijajmy”.

„Najważniejsze w życiu jest miłość bliźniego”.

Nie zrozumiany więc nawet przez swych najbliższych żył Tolstoj sam wedle własnych przekonań.

Zamieszkiwał najskromniejszy pokój we własnym domu, ubierał się, żył i pracował jak chłop.

I do końca życia nie sprzeniewierzył się swym ideom, nie zaprzedał duszy za szczyt i wygodzie, nie zбочzył z drogi, którą sobie nakreślił.

Pod koniec życia, nie mając dość sił, by wydrzeć rodzinie majątek i oddać chłopom, ucieka z domu i umiera na jakiejś małej stacyjce kolejowej, nie jak hrabia, magnat, bogacz, lecz jak biednych chłop bezdomny.

J.

Dziwne przygody Sławka i Kasinki (Bajka wakacyjna)

(Ciąg dalszy).

Za to niezwykle miłe i rozkoszne były młodziutkie panny Pieczareczki. W swych skromniutkich, bielutkich i czystych fartuszkach krzątały się wdzięcznie po grzyboludziem gospodarstwie, obmyślając coraz nowe i coraz smakowitsze potrawy.

— Ho ho! — mruzczały z łaskawem uznaniem wymagające Trufle, gdy patrzyły na krzątanie się panien Pieczareczek. — Te małe idą w nasze ślady i jeśli nadal będą się tak starały, to żadna pieczeń bez ich przyprawy się nie obejdzie...

— Dziękujemy paniom za łaskawe uznanie — szeptały skromnie młodziutkie gosposie — dziękujemy! Mamy nadzieję, że niejednej jeszcze potrawie dodamy smaku.

— Być może... być może... — mruzczała niedowierzająco Surojadka, niewielka zwolenniczka kuchni — ale ja zawsze jestem zdania, że to najlepsze, co można

jeść na surowo. Nieprawdaż chłopcze? — zwróciła się do Sławka.

Sławek nie zdążył jednak nic odpowiedzieć, bo właśnie z pomiędzy krzewów wysypały się małe maśluszki ze śliniaczkami zawiązanymi pod bródką. Pocięźnie było patrzeć na ten drobiazg.

Małeństwa następowały sobie na pięty, popychały się, śmiały się to znów ni z tego ni z owego zaczynały się mazać...

Zafrasowane wychowawczyni, chude i opalone, biegały wśród tego drobiazgu i raz wraz to temu, to owemu Maśluszkowi obcierały nos.

Za temi dzieciszkami — maśluszkami kroczyły poważnie parami młode gąski w szarych mundurkach.

Sławek przypomniał sobie odrazu dziewczynki ze szkółki i żałował bardzo że Kasinka nie może zobaczyć tych leśnych koleżanek.

Ale oto zrobił się ruch w tłumie.

— Wojsko! Wojsko!

Zadudniło, zachrzęściało i ukazały się równe kolumny dziarskich kozłaków w białych, obcisłych rajtuzach, w zawadzących, pąsowych czapach.

Na czele maszerował wódz ich ukochany, sam Rydz — Czerstwy w szmelcowanej zbroi rydzego koloru.

— Wiwat! Wiwat! Wiwat! — wiwatowały co sił wszystkie grzyboludki.

Rydz — Czerstwy rycerską dłoń przyłożył do skroni...

Pod starym pnem spróchniałej osiki ustawiły się szybko Opieńki i zagrzmiały muzyką!

Sławkowi same nogi podskoczyły:

— W tany! — krzyknął rozochocony i dalej przytupywać do taktu muzyce.

Grzyboludki też nie pozostały w tyle. Wojownicze Kozłaki porwały do tańca panny Pieczareczki, które nie zdążyły nawet zdjąć swoich fartuszków. Maśluszki zaczęły krążyć w kółeczko ze swemi chudemi nianiami. Muchomor Muchomorski skłonił się przed rozpromienioną Purchawką Purchawską, a dzielny i niezmordowany Rydz — Czerstwy tańczył z trzema naraz Truflami.

I nawet starszy Borowiczek raczył stanąć w parę z młodszym Borowiczkiem.

Hulały zapamiętałe na jednej nodze wszystkie Grzyboludki, o hulały!

Przygrywały im cieniutkie Opieńki, o

przygrywały! Jak się weselić — to się weselić! Hu ha!

Wysunął się przed muzykę starszy Borowiczek, przytupnął jedną nogą, kapeluszu brązowy poprawił i huknął z całego gardła:

— Zaświadczyć moi mili!
Zaświadczyć moi mili,
że w grzybie harda dusza,
przed nikim nie uchyli,
przed nikim nie uchyli
swojego kapelusza!

hu ha!

Zaświadczyć moi mili,
zaświadczyć moi mili,
że zawsze grzyb jest w drodze
i śpieszy w każdej chwili,
i śpieszy w każdej chwili
na jednej skacząc nodze

hop sa!

Zaświadczyć moi mili,
zaświadczyć moi mili,
że rośnie grzyb przy grzybie,
a kto się jeno schyli,
a kto się jeno schyli,
ten zawždy „brata” zdybie

hu ha!

(C. d. n.)

E. S. Zi



Listy z kolonji

Wymyślin, dn. 13.VIII.

KOCHANY PRZYJACIELU DZIECI!

Śpieszę Ci donieść, że 12 sierpnia u nas na kolonji letniej w Wymyślinie odbyła się ciekawa zabawa, na którą przybyli zaproszeni przez nas letnicy i miejscowi mieszkańcy seminarjum z dyrektorem na czele. Dzieci z Domu Dziecka Robotniczego w Warszawie odegrały wesołą komedię „Pożar” W. Wiszniewskiego, w której publiczności ogromnie podobało się, że na scenie był prawdziwy ogień i strażacy ugasiли go z prawdziwych narzędzi pożarniczych. Odśpiewały chórem kilka piosenek i odtańczyły charakterystyczny taniec. Dzieci z ogniska z Kutna odegrały wesołą komedię „Jak powstała plotka w wesołej gromadzie”, zatańczyły brzoški i odśpiewały jedną piosenkę, a na zakończenie wszystkie dzieci z kolonji odśpiewały „Czerwony Sztandar”.

Napisała wychowanka z Domu Dziecka Rob.

Iza Szmatkówna.

Wielień nad Notecią, 20.VIII 1928.

Dnia 15-go sierpnia b. r. odbyło się przedstawienie, poprzedzone przed południem zawodami sportowymi. Składały się na nie: bieg 60 mtr. i naprzelaj, skok w dal, skok wzwyż i siatkówka. Zawodom, — zwanym żartobliwie „olimpiadą w Wieleniu” sędziował tow. Czesław Blacharczyk. Każdorazowy zwycięzca w biegu czy w skoku witany był rzesistemi oklaskami i podnoszeniem w górę. Nagrody, w postaci dyplomów, malowanych przez seminarzystki T. U. R-a postanowiono rozdać: R. Czechowskiemu i A. Domagalskiemu — zwycięzcom w biegu 60 mtr. W biegu na przelaj A. Kvadé'mu, C. Krzyżanowskiemu, W. Fidlerowi i J. Zawiei; w skoku w dal — A. Domagalskiemu i K. Fidlerowi. Wynik rozgrywki w siatkówkę był: chłopcy — dziewczynki = 32 : 30.

O 4-ej pp. sala przedstawień wypełniła się po brzegi publicznością Wielenia, ciekawą występ, który ogłaszały afisze na mieście. Początkiem przedstawienia był Hymn młodzieży robotniczej, odśpiewany przez wszystkie dzieci. Następnie

rozpoczęły się deklamacje chóralne chłopców, potem dziewcząt i tańce: „Kozak”, „Sen”, „Taniec motyla”. Cały występ miał charakter robotniczy. Deklamowaliśmy chórem: „Marsyljankę”, „Biały Dom” — J. Tuwina, „A jak poszedł...” — Konopnickiej; odegana też była komedijka Korczaka — „Sława”.

Potem wszyscy wstali i odśpiewano hymn robotniczy „Czerwony sztandar”. Ponadto były pieśni ludowe, wzbudzające ogólny zachwyty, widoczny w wielokrotnych „bisach”.

Publiczność obdarzyła nas nawet kwiatami i czekoladą, a każdy numer programu wywoływał na sali istną burzę oklasków. Nic też dziwnego, że po ukończeniu przedstawienia panowała ogólna radość i zadowolenie, do czego przyczyniło się niemało uczestowanie nas ciastkami i cukierkami przez towarzyszy Kolejarzy.

Należy nadmienić, że wejście było bezpłatne, zebrałyśmy jednak 15.50 zł. wyłącznie za programy, malowane pracowicie przez seminarzystki T. U. R-a. Owe 15.50 zł. przesyłamy „Przyjacielowi Dzieci” na ręce tow. Jadwigi Borowiczowej, prosząc, by Towarzyszka uprzyjemniła pobyt w mieście dzieciom, które nie wyjechały w lecie na wieś. Sądzimy, że można kupić im owoców lub zabawek, a może kilka książek. Niechaj mają dowód, że myślą o nich dzieci, które na wsi korzystają z uciech lata. Pragniemy, by wszystkie dzieci mogły w lecie wyjechać na wieś. Teraz podobno trudno to uczynić, ale jak dorośniemy, spełnimy nasze życzenie. Bardzo „Przyjacielowi” dziękujemy, że wydrukował nasz list poprzedni. Wszyscy go z radością czytali w „Robotniku”. Przesyłamy pozdrowienia wszystkim dzieciom.

Teatr dziecięcy

W Nr. 8 „Przyjaciela Dzieci” Redakcja rozpiisała Konkurs na komedię p. t. „Kooperatywa”.

Z nadesłanych do 1 września b. r. opracowań, odznaczoną została komedijka Stanisławy Sarnówny z Jasta, wyróżnione: *Wojtasikówny i Skulskiego*